



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

ROZKOSZ ZEMSTY.

ch! jaki niezdolny jesteś, Witoldzie, jaki niezdolny, to wszelkie wyobrażenie przechodzi. Na całym świecie niema chyba niezdolniejszego chłopca od ciebie. Witoldzie, przestań, bo już nie wytrzymam, doprawdy nie wytrzymam!

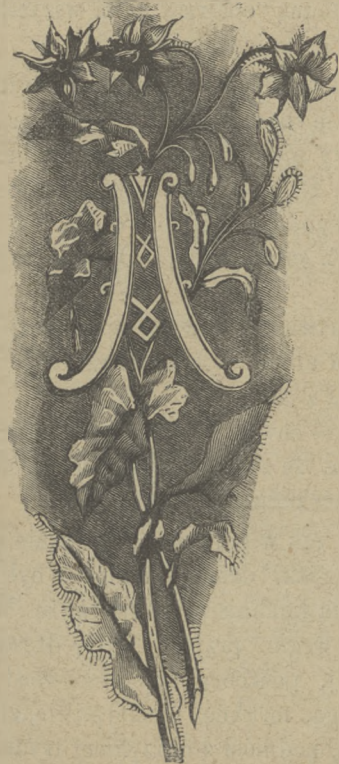
Te wykrzykniki wychodziły z ust Jadzi, czternastoletniej pensyonarki, zajętej odrobieniem jakiegoś trudnego zadania matematycznego. Ale starszy o rok jej brat, pustak wielki, nie zważał na to wcale, ponieważ sam już lekcye na dzień jutrzejszy przygotował, więc przeglądał

— Nie, to już nie do zniesienia! Ty mnie do rozpacz doprowadzisz, Witoldzie! Niedosć, że ten nudziarz stary wymyślił jakieś zadanie niemożliwe, od godziny ślęczę nad tą okropnością, jeszcze żeby brat, brat rodzony tak mi dokuczał! Innyby pomógł, a ten!...

— Cha cha cha! — zaśmiał się Witold — miałbym ci pomagać. Ależ to niemoralność, moja panno siostró, to po prostu...

— Ja też wcale o to nie proszę — przerwała Jadzia zaperzona; twarz jej pałała, a oczy błyszczały gniewem — nigdy nie prosiłam o twoją łaskę, ale mi nie przeszkadzaj. Poco tu siedzisz, skoro nie masz nic do roboty, idź sobie! idźcie sobie zaraz!

— Ohoho! Roztrzepała się panna siostra, jak indyczka. To bardzo nieładnie, młode panienki powinny być łagodne, słodkie, cierpliwe, jak gołąbki — i zaczął znów śpiewać arya z Mikada, gwizdząc na przemiany przeraźliwie, biednej Jadzi aż w głowie huczało. Próbowwała zatknąć uszy, ale to nie na wiele się przydało; gdy potrzebowała liczbę jaką napisać, musiała przecież rękę od ucha odjąć, a wówczas szalone dźwięki śpiewu i gwizdania wpadały jej nagle do słuchowego bębna i taki zamęt sprawiały w umyśle, że w jednej chwili zapominała, co miała napisać. A tu nazajutrz miał być półroczny egzamin z matematyki, od którego promocyja zależała. Jadzia była naprawdę blizką rozpacz, a Witold śpiewał i gwizdał coraz głośniej. Zapytacie może, czemu nie wyszła z pokoju, skoro Witold tego zrobić nie



fotografie w albumie, a przytem wyśpiewywał w niebogłosy różne wesołe piosenki z operetek, zasłyszane w teatrze. Jadzi to przeszkadzało okropnie, doszła w końcu do takiego niecierpliwienia, że przez płacz prawie zaczęła wołać:

chciał. Ale nie miała gdzie wyjść, w saloniku był ktoś z gości, w jadalnym pokoju do herbaty nakrywali, a w jej sypialnym, jak na toż, froterowali posadzkę. Ten jeden pokój, biblioteczką zwany i przeznaczony do nauki dla obojga rodzeństwa, był wolny. Zresztą, kto wie, możeby Jadzia i nie chciała wyjść, co znaczyłoby ustąpić bratu, może wołała narzekać, rozpaczać, bywa to czasem. Tłómaczyć tego nie będziemy, dość że nasza nieszczęśliwa Jadzia opuściła ręce bezsilnie i znów zaczęła skargi rozkładać głosem żalosnym, któryby skałę poruszył, chociaż na Witolda nie wywierał najmniejszego wrażenia. Potem z żalu przechodząc w gniew, wykrzyknęła:

— O, żebym ja mogła się zemścić! Zebym mogła ci zrobić jakąś przykrość okropną, straszną, taką, jak ty mnie robisz, wyrodney bracie. Teraz dopiero zrozumiałam to, co nieraz zdarzało mi się czytać, że zemsta wielką rozkosz sprawia, a wyrzec jej się, to poświęcenie prawdziwe. O, zemsty, zemsty!

Witold przestał gwizdać, natomiast zaczął się śmiać na cały głos, pokładał się na sofce, brał się za boki i śmiał się, śmiał, aż echo rozchodziło się po pokoju.

— No, patrzcież państwo — rzekł w końcu, naśmiewszy się do woli, jaka to zawzięta osóbką z tej mojej siostruni; a wygląda to tak potulnie! Zemsty jest spragniona, zemsty! I cóżbyś ty mogła mi zrobić, kureczko jakaś? Nawetbyś za uszy porządnie wytargać nie potrafiła.

— Ba! czy to taka wielka przykrość wytargać za uszy? jabym ci chciała co gorszego zrobić, wydrzeć coś takiego, co bardzo lubisz. Powiedz mi, co ty lubisz najlepiej?

— Cha cha cha! sam ci mam powiedzieć, ażebyś zaraz wydarła? Lubię ja różne rzeczy, ale podobno najlepiej to śliczne album z fotografiami. To jest właściwie nie album, bo brzydkie, stare, zniszczone, wartoby się o nowe postarać; lecz te fotografie, to słabość moja. Mam tu zbiorek pyszny, wizerunki najlepszych kolegów i przyjaciół, rodziców, cici, wujaszków obu, wszystkich stryjenek i ciotecznych braci, siostrzyczek także, nie wyłączając i tej rodzonej, rozczłoszczonej w tej chwili i zemstą dyszącą. Przepyszny zbiorek, od kilku lat gromadzę i zbieram te fotografie, prawie wszystkie z podpisami i datami, bardzo to miła pamiątka. No, ale spodziewam się, że mi ich nie wydrzesz, mściwa siostruniu, zresztą, poprobuje, obaczmy kto silniejszy.

— Wielka mi rzecz, fotografie — odrzekła Jadzia, wzruszając pogardliwie ramionami — mam i ja album, nie troszczę się jednak o niego wcale. Sto razy miłszy jest dla mnie zielnik, bo go własną ręką zebrałam, każdą roślinkę zerwałam sama i zasuszyłam troskliwie, każda mi coś przypomina, przechadzkę w miłym towarzystwie, rozmowę, różne, różne chwile przyjemne. Ten zielnik, to trzyletnia moja praca, to przecież nie ma porównania z albumem fotografii.

Ani się spostrzegła Jadzia jak ochłonęła z gniewu i rozmawiała z bratem spokojnie, on także przestał na złość siostrze hałasować, byłaby już pewnie i tak zgoda nastąpiła; wtem weszła służąca i powiedziała, że przyszedł student jakiś i chce się z panem Witoldem widzieć.

— Ach! to Janek Solski, umówiliśmy się, że pójdziemy razem kupić kajetów, bo on gdzieś odkrył śliczne a tanie.

Chwycił czapkę i wybiegł; Jadzia odetchnęła głęboko, pozbyła się przecież prześladowania, nie tracąc ani chwili czasu zabrała się do roboty i w godzinę niespełna trudne za-

danie było odrobione bez myłki. Gniew jej tymczasem przeminał zupełnie, uśmiechała się nawet sama do siebie na myśl o tem, jak ona mogła tak się rozzłościć na brata, ażeby mu zemstą grozić.

— Nigdy w świecie nie zrobiłabym mu żadnej przykrości — myślała sobie Jadzia, chowając zadanie do szuflady — tak się to mówi, czy jabym miała serce? Zresztą on wcale nie jest zły, braciszek Witold, tylko pustak okropny, a to już taka natura wszystkich chłopaków, niema rady. Prędzejby mu przyjemność sprawiła, muszę nawet pomyśleć o tem; za to, że taka była niepocziwa, groziłam zemstą bratu, sprawię mu jakąś niespodziankę... a, już wiem! Mówił, że ma stare, popsute album, że poraby o nowe się postarać. Otóż ja mu daruję to śliczne moje, które dostałam od wujaszka, mnie ono niepotrzebne, dawniejsze jeszcze zupełnie dobre. Zaraz, zaraz to się robi, trzeba powyjmować fotografie z tego albumu; ależ prawda, że porządnie już zniszczone. Zabiorę je do swego pokoju, musieli tam już skończyć sprzątanie, ułożę ślicznie wszystkie w nowe album i położę tu na stoliku. Toż dopiero się zadziwi braciszek! Niech wie, jaka to moja zemsta.

I tak rozmawiając sama z sobą, Jadzia powyjmowała fotografie z albumu Witolda i zabrała je do swego pokoju, ciesząc się w duszy, że taką miłą niespodziankę sprawi bratu. Witold tymczasem załatwił się prędko ze sprawunkami i powrócił do domu, nim jeszcze Jadzia zdążyła fotografie poukładać. Miała z tem dosyć trudności, bo niektóre ciasno wchodziły, obawiała się podrzeć kartek w albumie, dobierała więc cierpliwie jedną po drugiej, próbowała, a to dużo czasu zajęło.

Witold wszedł prosto do biblioteki, zaczął składać na swoim stoliku i natychmiast wpadło mu w oczy album otwarte i całkowicie ogołocone z fotografii. Okrzyk wyrwał się z ust jego, pochwycił to album, obejrzał je na wszystkie strony, zacisnął zęby, ogarnął go gniew szalony.

— A to tak! — mruknął w końcu — ta mała jaszczurka naprawdę się zemściła! Nie spodziewałem się, nie przypuszczałem, nawet mi do głowy nie przyszło schować album. O, jaka niegodziwa złościca! Rzuciła album wypróżnione, bo mówiłem, że nie dbam o niego, na złość to zrobiła, a fotografie musiała zniszczyć, spalić, co do jednej. O, co za szkoda, co za szkoda!

I Witold, naprawdę zmartwiony, o mało się nie rozplakał, obracając w ręku puste album. A wtem rzucił je na podłogę, uderzył pięścią w stół z całej siły:

— Poczekaj, niedobra! — zawołał — ja także potrafię się zemścić, dobrześ ty mówiła, że zemsta jest rozkoszą, muszę i ja tej zemsty pokosztować, poczekaj!

Witold mówił śpiesznie, jak w gorączce i śpiesznie zaczął się uwijać po pokoju. Krótki dzień grudniowy był na schyłku, mrok zapadł, ogień na kominie przygasł także, Witold porwał obcęgi, rozrzucił węgle, przyłożył parę drewek, a gdy płomień buchnął żywiej, poskoczył do stolika siostry. Otworzył jedną szufladę, drugą, mruknął niecierpliwie, znalazł wreszcie to, czego szukał, podniósł z okrzykiem tryumfu tekę, naładowaną bibułą, rozerwał tasiemki, któremi była związana i wyrzucił całą zawartość teki w ogień.

Nie patrzył jednak w kominek, gdy zrobił swoje, odwrócił oczy w inną stronę, jakby się wstydził własnego uczynku. Usiadł przy stole, założył ręce na piersiach i siedział

milczący, posępny, kiedyniekiedy westchnienie mimowolne wyrwało się z jego piersi. Wtem zadrżał nagle, drzwi otworzyły się z cicha i weszła Jadzia.

— Już wróciłeś, Witoldzie? — zawołała, a w głosie jej nie było ani śladu niechęci lub zagniewania, poznał to Witold i mocno się zadziwił. Jakto, więc ona po dokonanej zemście tak przyjaźnie odzywa się do niego, jakby nic między nimi nie było? On przecież mężczyzna, a nie śmie jej w oczy spojrzeć. Ale Jadzia zbliżyła się i dalej mówiła, serdeczniej jeszcze, z przymileniem:

— Chciałam ci zrobić niespodziankę, braciszku, nie myślałam, że tak prędko powrócisz; ale to wszystko jedno, zawsze będzie niespodzianka. Bo widzisz, wstyd mi, że taka byłam niecierpliwa, tak się rozżłościłam za twoje figle, zemstą ci groziłam. Ażeby to wynagrodzić, patrz, ty, pustaku, swawolniku, ofiaruję ci nowe, piękne album. Fotografie poukładałam wszystkie bardzo porządnie, zaraz inaczej wyglądają w nowym albumie. Cóż, niezadowolony jesteś? Co tobie, Witoldzie, czy ci sprawiłam przykrość? braciszku, co ci się stało?

Niedarmo Jadzia była zdziwiona, a nawet przestraszona trochę, Witold, zamiast ucieszyć się jej darem i podziękować serdecznie, jak na to liczyła, popatrzał na nią dziwnym wzrokiem, w którym malowała się głęboka boleść, połączona z przerażeniem, a potem twarz ukrył w dłoniach, nie wymówiwszy ani jednego słowa. Przez długą chwilę Jadzia nie się od niego dopytać nie mogła, przemówił wreszcie drżącym i urywającym głosem:

— Dobra, kochana siostrzyczko, ty miałaś słuszny powód do gniewu na mnie, a natomiast przyjemność mi chciałaś sprawić; ja tymczasem zrobiłem szaleństwo, myślałem, żeś naprawdę się zemściła, żeś zniszczyła moje fotografie. Jak obaczyłem album próżne, szłaś mi prawdziwy ogarnął, ja także chciałem zakosztować rozkoszy zemsty i...

— O, mój Boże! i coż ty zrobił? — pytała Jadzia przestraszona.

— Spaliłem twój zielnik, na kominku, do szczętu spaliłem... — i znowu ukrył twarz w dłoniach.

— Mój zielnik! — wykrzyknęła Jadzia, załamując ręce — mój śliczny zielnik? Ale gdzież ty go znalazł?

— W szufladzie — rzekł Witold głosem przytłumionym — znalazłem tekę w szufladzie, wysypałem wszystko w ogień.

— W szufladzie, w stoliku? — powtórzyła Jadzia i klasnąwszy w ręce, jakby czemś nagle uradowana, jednym susem poskoczyła do stolika, otworzyła szufladę, parsknęła śmiechem, potem pobiegła do szafy, wyjęła z niej inną tekę i podnosząc ją do góry, wołała radośnie:

— Spaliłeś tylko niepotrzebną bibułę, zapalczywy braciszku! Oto jest mój piękny zielnik w całości, w tamtej drugiej, stariej tece, była schowana bibuła używana, która na rok przyszły miała znów służyć do zasuszania roślin. Och! jakiegoż mi strachu napędziłeś! Chwała Bogu, że na strachu się skończyło, chociaż i tak byłabym się na ciebie nie gniewała, Witoldku; taki wyglądałeś okropnie zgryziony, że mi ciebie szczerze żal było. Zresztą uważałabym to nieszczerście za słuszną karę, zasłużyłam na nią tą niedorzeczną złością i tem gadaniem o zemście...

— O, co za szczerście! — wołał Witold, zrywając się i chwytając siostrę w objęcia. — Nie wiem doprawdy, które z nas byłoby boleśniej odczuło zniszczenie tego zielnika. Ty,

moja Jadziu, marzyłaś tylko przez krótką chwilę o rozkoszach zemsty, ale ja tych rozkoszy zakosztowałem... i przyznam ci się... bodajbym ich nigdy więc nie kosztował.

— Oj, dobrze mówisz, mnie sama myśl tak przykre zostawiła wrażenie, że je uśiłowalam zatrzeć. Dobrze mówisz, braciszku, obyśmy nigdy w życiu rozkoszy zemsty nie kosztowali.

Ciocia Jania.

DO KONIKA.

Gdybyś ty, koniu, koniu bułany,
Poniósł mnie przez świat daleko;
Kędy gościniec ludźmi usiany,
Co go tam widać za rzeką.

* * *

Gdybyś mnie poniósł i jeszcze dalej,
Gdzie wzgórza świtanie płoną,
Kędy na skale orzeł się żali,
A szczyty pośród chmur toną.

* * *

Oj, unieś ty mnie w te wielkie miasta,
Żeby ja ujrzał raz przecie,
Jak się to praca ludzka rozrasta,
Posłuchał, co tam na świecie.

* * *

A też nauczyć chciałbym się dużo,
A potem przynieść do wioski,
Jak ludzie ludziom w potrzebie służą,
Jak koją wzajem swe troski...

* * *

Gdy świat zwiedzimy, koniu bułany,
Zbierzemy, co nam potrzeba,
Biegnij z powrotem na nasze łany,
Pracuj wraz ze mną dla chleba.

Z. Morawska.

KSIĘGA PAMIĘTNYCH CZYNÓW.

Opowiadaliśmy już dawniej czytelnikom naszego Pisma o uczonych Włoszkach, które zajmowały katedry profesorskie w uniwersytecie bolońskim i wiedzą swą nie ustępowały bynajmniej profesorom mężczyznom. Dodawaliśmy przytem, że kobiety te uczone odznaczały się zacnością i wielkimi cnotami, najsłynniejsza z nich, Marya Gaetana Agnesi, znużona pracą umysłową, w końcu poświęciła się Bogu i cierpiącym bliźnim, została Siostrą Miłosierdzia, rzuciwszy katedrę uniwersytecką.

Z radością i dumą zapisać tu możemy, że szlachetną tradycją tych niepospolitych kobiet wskrzesiła za dni naszych w tejże samej Bolonii rodaczka nasza, Polka, pani Malwina Ogonowska. Rozpocząwszy tam w r. 1882 wykłady języków i literatur słowiańskich, zjednała sobie sławę i cześć pośród cudzoziemców, wykładów jej słuchają nie tylko studenci, lecz publiczność na nie się garnie, a tym sposobem zaczęła pani budzi wśród obcych znajomość i zamiłowanie naszych dziejów, piśmiennictwa naszego, sama zaś godną ze wszech miar jest przedstawicielką płci swojej i narodowości, gdyż nie tylko wiedzą, ale zasługą i postępowaniem bez skazy dorównywa owym dawniejszym uczonym profesorkom bolońskim.

W korespondencji z Włoch, zamieszczonę w Bluszczu, napotkaliśmy szczegóły z życia p. Ogonowskiej, które tu powtórzymy, w nadziei, że zajmą czytelników, a zwłaszcza młode czytelniczki nasze, najlepszą bowiem nauką są przykłady, z rzeczywistości czerpane. Malwina z Rudzińskich Ogonowska urodziła się w Wilnie r. 1837, kształciła się w Warszawie na pensji pani Conradi. W piętnastym roku życia straciła ojca, a z nim i był niezależny, musiała pracować jako nauczycielka, nitylko na utrzymanie własne, lecz matki i rodzeństwa. Pozostawszy w Warszawie, wyszła za mąż za Hieronima Ogonowskiego i zamieszkała z nim na wsi.

Niedługo jednak ciche i spokojne życie pędziła, wkrótce spadły na nią niespodziewane klęski i nieszczęścia, musiała opuścić zacisze wiejskie, towarzyszyć mężowi najpierw na daleką północ, a potem, gdy zdrowie jego wymagało południowego klimatu, w roku 1880 zamieszkała z nim we Włoszech. Mąż umarł w półtora roku w Bolonii, a samotna wdowa znalazła pociechę, utulenie boleści, w nauce. Z początku rozpoczęła wykłady swoje bezpłatnie, z zamiłowania jedynie pracowała, a ile przytem pokonać musiała trudności, to łatwo sobie wyobrazić. Każda kobieta, chcąc zdobyć wyższy stopień wykształcenia, właściwy profesorom, musi sama nad sobą pracować, przyswajając sobie wiedzę za pomocą samouctwa, bo wstęp do uniwersytetów do dziś jeszcze bardzo jest utrudniony dla kobiet, a pani Ogonowska może być zaliczona do starszego pokolenia.

Odważna i wytrwała kobieta zwyciężyła jednak wszystkie przeszkody i dziś profesorka Polka pobiera od rządu 500 lirów pensji jest zatem uznaną i zatwierdzoną na katedrze swojej, a otoczona szacunkiem powszechnym, może sobie śmiało powiedzieć, że o własnych siłach, zasługą własną, wzniosła się na na najwyższe stanowisko naukowe, jakie kobieta tylko wyjątkowo zajmować może. P. Ogonowska pracuje pilnie od rana do nocy, a zawsze bezinteresownie, dla miłości nauki i dobra publicznego. W opracowaniu historyi naszej przez ministra Correnti'ego, które ma wyjść z druku niezadługo, brała udział, dostarczając wskazówek i tłómacząc fakta dziejowe. Zapoznaje też publiczność włoską z piśmiennictwem naszym, tłómacząc dzieła najlepszych autorów i pisząc studia o nich. Niedawno wydała poważną pracę pod tyt: „Studjum krytyczne o Zygmuncie Krasińskim”. Obecnie pisze podręcznik literatury naszej dla słuchaczy jej wykładów w uniwersytecie. Przygotowuje także pamiętniki swoje obszerne, a dzieło to dla czytelników włoskich, nie mających wyobrażenia o kraju naszym, obyczajach i zwyczajach, będzie wielce ciekawe i zajmujące.

Wielbiąc w profesorce kobietę uczoną, w całym znaczeniu tego wyrazu, nie zapominajmy, że umiała pełnić gorliwie skromne obowiązki swojego stanu, była najlepszą żoną chorego, zbiedzonego męża, pielegnowała go troskliwie, dopiero

dopełniwszy tych najświętszych powinności, w nauce szukała ulgi i pociechy. Nigdy też w niczem nie odróżniała się od kobiet pospolitych, nie przybierała pozorów wyższości, jak wszyscy ludzie prawdziwie uczeni, nie szuka z tej uczoności chluby, nie pyszni się nią wcale, pełna prostoty i skromności w ułożeniu, pani Ogonowska jest pod każdym względem wzorem i przykładem niewiasty zacnej, rozumnej i zasłużonej.

KOESPONDENCYA „WIECZORÓW RODZINNYCH”.

Ukochana moja Gołąbko pocztowa!

Byłabym Ci już z pewnością ze dwadzieścia listów posłała, ukochana Gołąbko, odkąd pozwoliłaś mi pisywać do siebie, gdyby nie uwagi mamy, że ty prawdopodobnie masz co innego do czynienia, niż odczytywanie listów takiej jak ja bazgrały. Teraz jednakże mam tak gwałtowny powód pisania do ciebie i tak się o to mamie uprzykrzam, to jest proszę ją o pozwolenie, że powiedziała: „Pisz już, pisz, staraj się tylko pisać zwieźle, a dokładnie”. Zatem piszę: powiedz mi, a raczej napisz, droga Gołąbko, czy Ukrainka nasza, ta, która pisywała takie żwawe do Wieczorów liściki, była bieżącego roku w Krynicy, czy nie? Jeżeli nie wiesz, co być może, bo nie jesteś przecież wszystko wiem, to w takim razie poleć, droga Gołąbko na Ukrainę albo do Krynicy, rozwinawszy skrzydełka, bo cóż to ciebie kosztuje?... i dowiedz się i powiedz mi. Pytam tak gorąco dla tego, że zdaje mi się, iż widziałam naszą Ukrainkę i tak się nią zajęłam, że myśl o niej spać mi nie daje, choć mama powiada, że to najpewniej wcale nie ona była. Tembardziej zatem proszę, droga Gołąbko, dowiedz się i powiedz mi prawdę. Jeżeli jednakże zechcesz wiedzieć, z kąd mi przyszła ta wielka ciekawość, to słuchaj, a powiem ci chętnie, bo mama mówi, że jestem niemiłosierną bazgrałą; zresztą, jak nie będziesz miała cierpliwości dalej czytać, to list rzucisz do redaktorskiego kosza, wiecznie pełnego odrzuconych rękopisów i koniec na tem.

Otóż tak było, bo mama przecież wymaga, aby pisać dokładnie; przyjechawszy do Krynicy, miejsca kąpielowego w Karpatach naszych, i ulokowawszy się jako tako, jak się dało, niestety, położyliśmy się przedewszystkiem spać, gdyż mama jest chora, a mnie podróż męczy okrutnie. Nazajutrz, obudziwszy się, wstałam natychmiast, choć mi się okropnie spać chciało, ale nie wiedziałam która godzina, bo dopiero na przyszłe imieniny wujcio przyrzekł mi kupić zegarek, niby żartem, gdyśmy grali w fanty, ale już ja jego znam, i jego żarty i pewna jestem zegarka, i o tem tylko myślę, co jemu zrobić na dzień św. Leona papieża?.. bo wujcio Leon za nic ma wszystkie dary, jeżeli nie są zrobione moją własną ręką, i powiada wprost, bez ogródk: Obejdę się bez twoich



O mój Boże! Cóżes ty zrcbił? (str. 315.)

podarków, jeżeliś nad niemi sama nie popracowała". Tymczasem, nie wiedząc godziny i nie chcąc zbliżyć się do stolika, stojącego przy łóżku mamy, gdzie mama swój zegarek położyła, siedziałam cicho, dopóki sama się nie obudziła. Natenczas, potrzebując gorącej wody, aby zwykłe ziółka przygotować, zadzwoniłam i poprosiłam o samowar, poczem w jakiś czas drzwi otworzyły się i patrzę, aż tu wchodzi samowar... ale sam tylko, parujący i żarzący się samowar... Aż się troszeczkę złęklam w pierwszej chwili takiej parowej maszyny herbacianej samochodzącej, dopiero gdy się to zbliżyło, spostrzegłam, że samowar niosła dziewczynka bardzo mała, zaledwo tyła, co nasza czteroletnia Zosia; przytem dziewczynka miała włosy obcięte tuż przy skórze, co jej mały łebek jeszcze mniejszym czyniło, miała sukienkę i majteczki wielce modne, bo krótkie nad kołana, tak, jak mama ani mnie nie ubierała, ani Zosi nie ubiera, a nóżki całe cienkie, jak patyczki, miała obnażone i bosa zupełnie: nic dziwnego, że drobnutkie to stworzonko, niosąc samowar, chowało się prawie za niego.

Spostrzegłszy tę dziewczynę, przestraszyłam się dopiero naprawdę, bo wyobrażałam sobie, że musi się oblać ukropem, wyróciwszy z samowarem; nic się jednak podobnego nie stało. Małeństwo to, jak się dowiedziałam, pomimo swego wzrostu, ma już siedm lat, czemu jednakże trudno uwierzyć, tem bardziej, że bardzo źle mówi, zmniejszając twarde głoski tak, jak zwykle małeńkie dzieci, ale to pewna, że pracuje tyleż, a może nawet i więcej, co dorosłe służące, posługując gościom; nosi karafki z wodą prawie tyle, co sama, dźwigając je oburącz rączkami, takimi prawie jak u dużej lalki, nosi gotujące się samowary i tace pełne naczyń, a tylko raz jeden zdarzyło się, że wychodząc z tacą z drzwi sąsiednich, wyróciła się pustą filiżanką potoczyły się po korytarzu:

— A to co? — zawołałam, biegnąc do niej.

— Wywłóciłam ale nic się nie slukło... — odpowiedziała, zbierając; istotnie nic się nie slukło, co wytłómaczyłam sobie tem, że niedaleko było filiżankom lecieć z jej rąk do ziemi. Wierz mi, droga Gołąbko, że nic a nic nie przesadzam, mówiąc o tej dziewczynce. Jest ona niezmiernie mała. Pewnego razu otworzyły się drzwi, niezbyt dobrze się zamykające i wszedł do naszego numeru duży pies obcy, o tyle tylko nam znany, że spotkawszy czasem na ulicy, pogłaskałam go, co on, wzięwszy słusznie za objaw zasłużonej sympatii, przyszedł z najlepszą miną złożyć nam wizytę.

Oczywiście przyjęty był jak się dało najlepiej, co zawdzięczając w chwili, gdy go częstowałam, machał potężnie ogonem, jak wahadłem, biorąc uprzejmie kąski z mej ręki. Otóż zdarzyło się, że w tej chwili właśnie weszła owa mała gardebiana i przechodząc nieostrożnie koło psa, dostała się niechcący zbyt blisko owego wahadła, i zaczęła krzyczeć:

— Aj!... ty pieś, cego ty mię w głowę bijeś!... — istotnie otrzymała kilka razów psim ogonem w głowę, zamasztych, aż klaskało... Wyobraź sobie, jakie to małeństwo być musi ta dziewczyna, kiedy zwykły duży pies nie olbrzymi wcale, mógł bić ją w głowę ogonem, łaszcząc się. Mimowoli musiałam nieraz porównywać to dziecko, tak pożytecznie dla swych rodziców pracujące, z innemi dziećmi, u nas, które nie tylko, że nie pracują w swoim zakresie, tak jak im każą rodzice, nad książką lub igłą, ale jeszcze potrzebują różnych usług i grymaszą...

Załatwiwszy się z koniecznemi kłopotami i formalnościami, mama rozpoczęła kuracją, ale idzie to bardzo nędznie z powodu niepogody i zimna. Są ludzie, którzy jednak bawią się tutaj, tańcząc na tak zwanych reunionach, w salach zwanych „pod Barankiem”, ale cóż mnie to obchodzić może? Nie jestem wcale dzieckiem, i tańczyłam już nieraz, nawet z dorosłymi panami, bo przecież i wuj Leon jest od bardzo dawna dorosłym, a nawet „przerosłym”, jak sam powiada, i przyznam się szczerze, że bardzo lubię taniec; ale przyjemność ta jest dla mnie przyjemnością tylko w zaufaniem, dość licznem zresztą u nas kółku... Tutaj, najprzód trzeba nie mieć sumienia, aby prosić chorą mamę, iżby szła ze mną „pod Baranka” lub do teatru, a i bez tego, ja sama w obec wspaniałej otaczającej mię przyrody wolałabym układać zielnik według wskazówek naszej Kochanej Pani, biegając po górach, niż łykać kurz tańeczny. I mama z początku wcale nie była przeciw temu:

Ja przed kilkunastu laty — mówiła — będąc panienką w twoim wieku, codziennie prawie wbiegałam sama jedna na szczyt Michasiowej góry; ale następnie dowiedzieliśmy się różnych niemiłych rzeczy: na gości w kregielni przy mleczarni w obec licznego towarzystwa naszedł jakiś wielki dziad, okropnie zuchwały, z ogromną pałką w rękę, żądając natarczywie jałmużny; właścicielka mleczarni dała mu ją natychmiast, prosząc zarazem, aby odszedł sobie i nie przeszkadzał gościom się bawić, ale na to dziad ten jakiś odpowiedział gwałtownie, że on jest ubogi, a więc ma „prawo



Topnik.

żądać jałmużny". Powstała wrzawa, panie się poprzestraszały, panowie skoczyli po policyantów i zabrano owego dziada kędyś; ale gdyby tam panów nie było, gdyby taki dziad spotkał same kobiety gdzie dalej i wyżej w lesie, niż kręgielnia, to mogłoby być źle. Wkrótce potem znów dwie Cyganki napadły jakąś chorą panią, która w dalszym trochę zakęcie parku chciała świeżem leśnem odetchnąć powietrzem; przestraszona groźbami i kłótniami kobieta ledwo zdołała uciec do najbliższego, idącego szczęściem przez las towarzysztwa i bardziej jeszcze ze strachu zasłabła.

Wobec takich wypadków, których dawniej w Krynicy nie bywało, mama zakazała mi chodzić do parku, wyjąwszy najbliższych deptaka alei. Przechadzki moje zatem, najczęściej samotne i krótkie, ograniczone zostały do tak zwanego „deptaka”, to jest galerij otaczających źródło i sąsiednich chodników, i tam to nareszcie ujrzałam Ukrainkę. Pewnego poranka, gdy wypiwszy kubeczek wody i pochodziwszy usiadłam na ławce, nagle usłyszałam wielki szmer i setki głosów, powtarzające na wysługi:

— To są Francuzki, matka z córką i tak dziwnie ubrane!... To węgierki, dwie siostry!... To są Turczynki!... — Wołano tak po francuzku i po niemiecku i po polsku, przypuszczam, że i żydowskim żargonem, bo używający go krzyżystę także, patrząc w tę stronę, co inni, a przedstawiciele innych narodowości, prócz jednej Włoszki Wenecjanki i Rumunki nie zdarzyło mi się tu spotkać. Otóż na taki szmer spojrzałam i ja tam, gdzie wszyscy patrzyli, i cóż ujrzałam?... oto obok poważnej, choć nie starej jeszcze pani szła młoda, zaledwo dorosła panienka, w krótkiej do kostek, wzorzystej w tureckim guście, bardzo sutęj spódnicy, białej muślinowej sutęj i o sutych rękawach barwisto wyszywanej koszulce, muślinowym białym, wyszywany, ogromnym fartuchu i wzorzystej chustce na głowie. Anonalią przy tym stroju, oprócz trzewiczków i pończoch, były długie aż na rękawy zachodzące eleganckie rękawiczki i modny, barwny, duży parasol.

— Ależ to Ukrainka! — zawołałam mimowoli sama do siebie, bo nie wiem czemu nasza Ukrainka z „Wieczorów”, stanęła mi w oczach, jak żywa. I zaraz otaczający ludzie, ani wiedząc, kto to powiedział, zaczęli powtarzać, że to Ukrainka. Wróciwszy do mamy, wielce wzruszona opowiedziałam jej to spotkanie; ale mamie nie bardzo się to jakoś podobało:

— Jeżeli ta panienka — rzekła — tak się ubiera, ponieważ jest to jej strój zwyczajny, do którego w domu przywykła i lubi go... to bardzo dobrze i chwalebnie robi. Ale jeżeli przystroiliła się tak tylko tutaj i dla tego, że strój ten jest w istocie malowniczy... to niezupełnie właściwe.

Widziałam jeszcze kilka razy ową Ukrainkę zdaleka, ale nie poznałam jej bliżej i przeto ciekawość moja pozostała niezaspokojoną i do ciebie się po jej zaspokojeniu udaję, droga Gołąbko, powiedz mi, czy to nasza Ukrainka, czy nie?

Nie biegając po górach, odwiedziłam tylko wraz z mamą „zakątek Kraszewskiego” na górze jednej z najprzystępniejszych, tak zwanęj Edwardówce. Jest to ławka kamienna w półkole postawiona, z popiersiem Kraszewskiego, wznoszącą się ponad nią i stosownym napisem pamiątkowym z pobytu w Krynicy wielkiego pisarza, który upodobał sobie słusznie uroczy ten zakątek o rozległym i czarującym widoku.

Byłyśmy także u źródła Słotwinki, wody o wiele słabszej, niż w głównym źródle w Krynicy, a oddalonego odeń cokolwiek, tak, że zdrowsi chodzą tam pieszo wybornie, ale my ze względu na mamę musiałyśmy pojechać. Otóż otoczenie skromnej Słotwinki dziesięć razy bardziej nam się podobało, niż Krynica, gdyż jest to prześliczny i ładnie utrzymany las, pełen świeżości, zalegający piękną wśród gór dolinę; nie potrzeba zatem piąć się po górach, aby być w lesie, a że w las ten po wonne powietrze nie trzeba się daleko zagłębiać, przeto i nie miłego spotkania mniej się obawiać można. Wielka szkoda, że to tak daleko od naszego mieszkania, bobym tam ciągle siedziała, zamiast płatać się wśród tłumów u głównego źródła.

Plącząc się tam jednak z konieczności, wypatrzyłam rzecz zajmującą. Trzeba wiedzieć najprzód, że tłumy te są przeważnie semickiej narodowości, i otóż zauważyłam, że mnóstwo izraelitek gromadzi się tu bezustannie w pewnym zakątku na maleńkiem wzgórzu, objawiając ławkę i stół tam stojące w wyłączne niejako posiadanie. Gromada otaczająca ów stół tłoczyła się, mieniała, i zdawała wielce zajęta przy ciągłym gwarze, cichnym chwilami po to jedynie, aby tam głośniej wybuchnąć. Wyglądało to, jakby na jakiś sejmik w swoim rodzaju i zaciekało mnie bardzo, ale nie mogłam nic widzieć zdaleka. Aż raz zdarzyło się przypadkiem, że przyszedłszy wcześniej, gdy jeszcze mało było osób i owa ławka na wzgórku była pustą, usiadłam w jednym jej końcu. Wkrótce zaczęły się schodzić izraelitki, po większej części w chusteczkach jedwabnych na głowach, co może jest tu oznaką niższości położenia towarzyskiego, albo też jest cechą jakiejś mniej postępowej sekty: jedna młoda żydóweczka w złocistej takiej chusteczce, okalającej twarz o rysach cudnie pięknych, czem przypominała mi typy w biblij Dore’go, wyjęła z kieszeni ołówkę, usiadła przy mnie, a inne, tłocząc się do niej ze wszystkich stron podawały jej kartki korespondencyjne i po kilka centów w rękę kładły, rozpowiadając coś żywo w swoim żargonie; żydóweczka chowała centy, brała kartki i rozmówiwszy się z podającą, pisała coś na kartkach od prawej ręki do lewej, odczytywała głośno, co napisała i oddawszy kartkę właścicielce, zajmowała się inną. W jednej chwili zrozumiałam teraz, o co tam chodziło: oto młodziutka żydówka była piśmienką i uczoną, i przeto za pieniądze służyła współrodaczkom swoim za sekretarza, założywszy sobie niby rodzaj biura w owym zakątku; może w ten sposób zarabia na utrzymanie chorej matki u wód?... Ach! otóż zapomniałam się i bazgrzę bez końca, a mama zwięźle pisać kazała.

Kończąc zatem na gwałt, serdecznie cię kochająca.

Poziomka.

TOPNIK.

Do najosobliwszych w świecie stworzeń zaliczyć można pajęczka wodnego, przedstawionego na naszej rycinie. Topnik ma naukową nazwę *Argyroneta aquatica*, co znaczy osnuty srebrem. Bo też wygląda, pływając w wodzie, tak zupełnie, jak gdyby srebrną powłoką był otoczony. Wyobraźcie sobie, że pajęczek ten, nie mogąc utrzymać się w wodzie bez powietrza, snuje sobie rodzaj dzwonu, jakiego używają nurkowie, zanurzając się pod wodę. Dzwon ten, w kształcie małego kokona, napełnia powietrzem, sadowi się w nim i poluje na drobne wodne owady. Samica w podobnym dzwonie składa jaja i małe wychowuje. Rysunek nasz przedstawia dzwony topników znacznie powiększone, gniazda samicy nie przechodzą wielkości laskowego orzecha, a pajęczki dla siebie mniejsze jeszcze snują powłoki. Samiec miewa około siedmiu linii długości, samica około pięciu. Stanowią tem wyjątek w swym rodzie, zazwyczaj bowiem samice bywają większe od samców.

GWIAZDA SUDANU.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE ŚRODKOWEJ.

(Dalszy ciąg).

Dnie wlokły się z nieznośną jednostajnością, nieprzyjacieli nie przypuszczał szturm, widocznie miał zamiar pokonać miasto głodem. Jest to zawsze sposób najskuteczniejszy przy oblężeniu i kto tylko ma cierpliwość, zawsze w końcu zwycięży. Rozpoczęło się od tego, że najpotrzebniejsze

produkta żywności znacznie podrożały, a ceny te podnosiły się nieustannie i doszło w końcu do niesłychanej drożyzny. I tak na przykład: gołębie swojskie zazwyczaj sprzedają się w Timbaktu za bezcen, kupowaliśmy je przedtem setkami za cenę jednego „duro”. Tymczasem 30 Kwietnia r. 1880 kazano mi zapłacić za jednego gołębia ni mniej ni więcej tylko 10,000 kaurisów, to jest na monetę francuską około 14-tu franków.

Mieszkańcy wyczerпали prawie wszystkie zapasy ryżu, daktyli i orzechy ziemnej, zaczęli zarzynać resztę wielbłądów, ocalonych od wycieczek wojennych, oszczędzano tylko samice, dostarczające mleka, Fulanie mieli swoje małpy, ale i one były głodne, więc niewiele z nich wyciągnąć mogli pokarmu. Skończyło się na tem, że je także na mięso pozarzynali. Pożerano psy, koty, szczury, sam widziałem, jak Marokanin pewien zapłacił za szczura 100,000 kaurisów, czyli 137 franków i pół. Położenie stało się już prawie niemożliwe.

Nasza spiżarnia, dzięki przezorności p. Guduli, była tak dobrze zaopatrzona, że nie tylko sami nie cierpieliśmy głodu, ale mogliśmy udzielać choć trochę żywności rannym i rekonwalescentom w szpitalu. Wielkorządca coraz częściej i coraz posępniej się zamyślał, zwierzał się niekiedy przedemną ze swoich trosk i niepokojów. Ogromna odpowiedzialność na nim ciążyła, podjął się dobrowolnie obrony miasta, a dziś nic poradzić nie mógł, gdy oblężenie doprowadziło je do położenia prawdziwie rozpaczliwego. Starałem się go pocieszać i rozerwać, czasem dawał się zaciągnąć do biblioteki, tam czytałem mu zajmujące ustępy z roczników miasta, z dziejów ogólnych Sudanu, i nieraz udało mi się choć na chwilę odwrócić umysł jego od tłoczących myśli.

Pewnego rana, było to 18 Maja, wchodziliśmy obaj do tej biblioteki, gdy ujrzelśmy Karola, wychodzącego z tamtąd właśnie; dzwigał ogromną księgę, w safian oprawną.

— Co tu robisz? — zapytałem.

— I-dę-dę-z bi-bi-blio-te-te-ki...

— Ja to widzę, ale pocóż zabrałeś tę księgę?

— Pan dy-dy-re-ktor-ka ka-ka-zał.

— To coś nowego! czy zbieranie roślin uprzykrzyło się panu dyrektorowi i bierze się do czytania?

— To nie-nie-do-czy-czy-ta-nia.

— A do czegoż?

— Bo nie-nie-ma już pa-pie-ru, a mu-si-si-ziel-nik-nik u-koń-czy-czy-czyć ko-ko-ko-nie-cznie.

— I na zielniki wykradacie cenne księgi z biblioteki? — zawołałem z oburzeniem — ależ to wandalizm niedarowany. Ja na to nie pozwolę.

— Ziel-nik-nik jest naj-cen-cen-niej-szą rze-czą na świecie-cie...

— O ty, głowo do posłoty! — zawołałem, wychodząc już z siebie — ty mi tu będziesz rozprawiał o zielnikach. Oddaj mi zaraz tę księgę i ruszaj do szpitala.

Mówiąc to, wyrwałem z rąk Karola nieprawnie zabraną zdobycz i wypchnąłem go za drzwi. Księga była pisana po arabsku na papyrusach, które rosną nad Nigrem tak samo, jak i u wybrzeży Nilu.

— Może to co ciekawego — rzekłem do mego towarzysza — szkoda, że nie mogę przeczytać, nie znam arabskiego języka.

— Ale ja go znam nieźle — odpowiedział p. Lemercier — dzieło to pochodzi z połowy XVII wieku, tytuł ma „Tarich e Sudan”, i zawiera dzieje państwa Sonraisów od początku ich istnienia aż do roku 1640. Autor zowie się Achmet Baba. To musi być coś zajmującego.

Kapitan Lemercier zaczął przerzucać rękopis zrazu z roztargnieniem, potem coraz uważniej, aż nagle wydał okrzyk tak donośny, że echo powtórzyło go z pustych kątów sali.

— Co to jest, co się stało? — pytałem zdumiony.

— Co się stało? O, mój Boże! żebyż to była prawda! Nie śmiem w to uwierzyć.

— Ale cóż takiego? nic a nic nie rozumiem.

— O, doktorze kochany, cóżby to było za szczęście! Bylibyśmy ocaleni, uratowani! Nie traćmy czasu, trzeba to wyjaśnić; śpieszmy do szejka.

XIX.

Tajemnica rękopisu.

Spotkaliśmy szejka na rynku, który przedstawiał widok bardzo smutny. Trochę czarnego, nędznego prosa, oto był jedyny produkt żywności sprzedawany na wagę złota w Timbaktu. Pocziwy Achmet El Bakai przemawiał do ludu, usiłując dodać mu odwagi i natchnąć nadzieją, sam jednak taki był smutny i zmieniony, że słowa te nie mogły wywrzeć pożądanego wrażenia. Wielkorządca przerwał mu bez ceremonii i kładąc rękę na ramieniu jego, zapytał:

— Szejku Achmecie El Bakai, wszak jesteś „faki”, (uczony) nieprawdaż?

— Jestem z łaski Allacha — odrzekł szejk z dumą.

— A zatem musisz wiedzieć, kto to był Achmet Baba?

— Rozumie się. Był to „faki”, taki sam, jak ja, słynął z mądrości, w sprawach wiary niemniej jak i w sprawach świeckich nie miał równego sobie.

— Czytałeś więc zapewne jego dzieła.

— Tak, dzieła religijne, tłumaczenia Koranu, Psalmów pobożne, Nauki o modlitwie i rozmyślanii...

— Wszystko to piękne być musi, ale czy nie czytałeś jego „Dziejów Sudanu”?

— Nie, tego nie znam, gdyż starałem się odrywać umysł od spraw tego znikomego świata i postępować drogami Allacha. Oby na wieki był błogosławiony!

— I nie czytałeś dzieła pod tytułem „Tarich e Sudan”?

— Nie.

— Bądźże łaskaw przeczytaj ten ustęp — i mówiąc to, timbuktukoj otworzył grubą księgę i wskazał szejkowi, co miał czytać.

El Bakai czytał uważnie, gdy wreszcie skończył, padł twarzą na ziemię i z nadzwyczajnem wzruszeniem wymówił tylko te słowa:

— Allach jest wielki, potężny! Oby na wieki był błogosławiony!

— Masz słusność, szejku — rzekł p. Lemercier — jest to dziwne zrządzenie Opatrzności, której nigdy ufać nie przestawałem. Ale pomówmy teraz spokojnie o tem szczególnie odkryciu. Najpierw, czy jesteś pewny, że ten rękopis jest dziełem prawdziwym Achmeta Baby?

— To nie ulega najmniejszej wątpliwości.

— I czy ty wierzysz w to, co on tu pisze?

— Achmet Baba skłamać nie mógł.

— Zapewne. Ale czy nie mógł się pomylić lub dać w błąd wprowadzić?

— To niepodobna. Achmet Baba, oby spoczywał w pokoju na łonie Proroka, był wielkim mędrce, umiał odróżniać zdrowe ziarno od kłokolu.

— Gdyby jednak uwierzył fałszywej wiadomości i zapisał ją nie sprawdzwszy?...

— Tego nawet przypuszczać się nie godzi. Taki święty człowiek, postępujący drogami proroka, nie uwierzy plotce, powtarzanej przez pospólstwo i nie zapisze w księdze tego, czego sam nie sprawił. Błąd nie może iść w parze z mądrością nadziemską.

— Jeżeli tak twierdzisz, to nic nam nie pozostaje, tylko wyjaśnić ten opis, bo jest dość niewyraźny. Wezwijże natychmiast, dostojny szejku, uczonych swoich akademików, niech to odczytają i znaczenie każdego wyrazu dokładnie wytłumaczają.

W godzinę później szejk zgromadził w przedsionku meczetu Sangereber wszystkich najznakomitszych „ulemów”, mędrków i nauczycieli; zasiedli też pomiędzy nimi, Feredzi poseł sultana, „mallem” czyli wielki kowal miasta Timbaktu, jeden z najwyższych urzędników, wreszcie szejk El Ba-

kai, który rozumie się i timbuktukoją posadził przy sobie. Ja także wkręciłem się do tego dostojnego grona, dotąd nic a nic z tego wszystkiego nie rozumiałem i łatwo sobie wyobrazić moję ciekawość.

— O, mężowie uczeni! — przemówił pierwszy szejek Achmet El Bakai — wy, co księgi święte czytacie i tłómaczycie, co znacie wszystkie tajemnice mowy pisanéj, powiedzcie, co znaczy ta nazwa: „Dżama Kunkur”?

Uczone grono przez czas jakiś namyślało się w milczeniu, następnie rozpoczęły się rozprawy i spory, które trwały dość długo, nareszcie mędracy zgodzili się na to, że nazwa ta musiała się stosować do świątyni, zbudowanéj w Timbaktu przez króla Kunkur Musę, po powrocie z pielgrzymki do Meki, która to pielgrzymka odbyła się w r. 1326.

Tu jednak powstało mnóstwo wątpliwości, uczeni mężowie różnili się w zdaniach, a żaden ustąpić nie chciał, jak to zwykle bywa nie tylko w Timbaktu. O jakim mianowicie gmachu była mowa? Kunkur, wedle podania, zbudował tyle świątyni, ile grzechów popełnił. Ulemowie z wielką czcią o tem mówili, przykładali ręce do piersi i wołali chórem:

— Oby mu Allah okazał miłosierdzie swoje!

Znowu zanosilo się na spory nieskończone, lecz szejek El Bakai uspokoił je łagodnie, on także przecież miał prawo do nazwy uczonego, więc wypowiedział zdanie swoje, które w końcu przeważało. Szejek utrzymywał, iż tą „Dżamą” gmachem świętym, nie mogło być co innego, tylko ów meczet Sangereber, w którym obecnie zasiadało dostojne zgromadzenie.

— Tak, tak — mówił szejek — rozstrzygnęliście już jedno trudne zagadnienie, oby was za to Allah napoił w raju strumieniami owego cudownego mleka, które nigdy smaku nie zmienia. A teraz probujmy dalej; co znaczą następujące wyrazy: „*Ayu* czatuje na ciebie po drodze do *kibli*, stań w miejscu, gdzie jest *member*, idź potem wolnym krokiem, trzydzieste ziarno doprowadzi cię do celu.”

Znowu mędracy się zadumali głęboko. Potem jeden za drugim podawali najrozmaitsze wyjaśnienia, niektóre dosyć dowcipne, inne całkiem nedorzeczne. W końcu wszyscy przyznali, że tekst jest nadzwyczaj ciemny, i że żaden z nich nie potrafi znaczenia jego dokładnie wyjaśnić. Nie było rady, szejek pożegnał dość kwaśno uczonych ulemów i odprawił ich do domów. Gdy wyszli wszyscy, milczący dotąd timbuktukoją powstał i rzekł:

— Dostojny szejku, powiem ci otwarcie, że nie miałbym się na rozum z żadnym z tych czterdziestu twoich akademików. Drogi czas nam tylko stracili na tę nedorzeczną gadaninę. Mnie się zdaje, że ja daleko lepiej od nich wyjaśnię tę zagadkę.

— Oby Allah wysłuchał słów twoich i obdarzył cię najczystszy strumieniem miodu!

— Przyznam ci się, miły mój szejku — odparł Francuz — że wołałbym jaki taki strumyczek wina, jeżeli już mię chcesz uraczyć; a wy podobno umiecie zmieniać dowolnie wiersze Koranu. No, no, zobaczymy, czy ja także nie potrafię „wykładać pisma.” Uważaj, szejku, powiedz mi najpierw, ile masz ziarn w swoim rożńcu?

— Dziewięćdziesiąt dziewięć, tyle, ile przymiotów ma wielki Allah.

— Stańże tu, gdzie się wznosi „member”. Wszak to ta mownica, nieprawdaż?

— Tyś powiedział.

— A teraz, uczony mężu, spojrzysz w tę stronę, czy to nie jest „kibla”? Wszak tak nazywacie tę framugę, która wyznawcom Proroka wskazuje kierunek Meki.

— Nieinaczéj.

(d. c. n.).

ZADANIE KONIKOWE.

(Od Gołąbka Czarnego dla Ninusi T.)

lej	ja	za	dro	by	je	ło	sia
Gwar	gą	a	nem	ni	dą	swo	dzie
ko	da	mi	a	ją	w ko	są	za
ta	no	ta	mi	a	mmo	woj	bie
cznym	mo	by	tlu	tek	so	dru	ze
dzba	pło	ska	ło	i	ciej	za	dą
gą	so	nem	z du	ei	ma	siad	gi
za	zym	dzie	we	są	mi	ma	gro

ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA (R. S.)

Leon—życie—bór—wóz—mak. — Z tych wyrazów, nie ujmując ani dodając liter, przedstawiając je tylko w innym porządku, ułożyć znane przysłowie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 38-go

Zagadki głoskowej:

P r a c a.

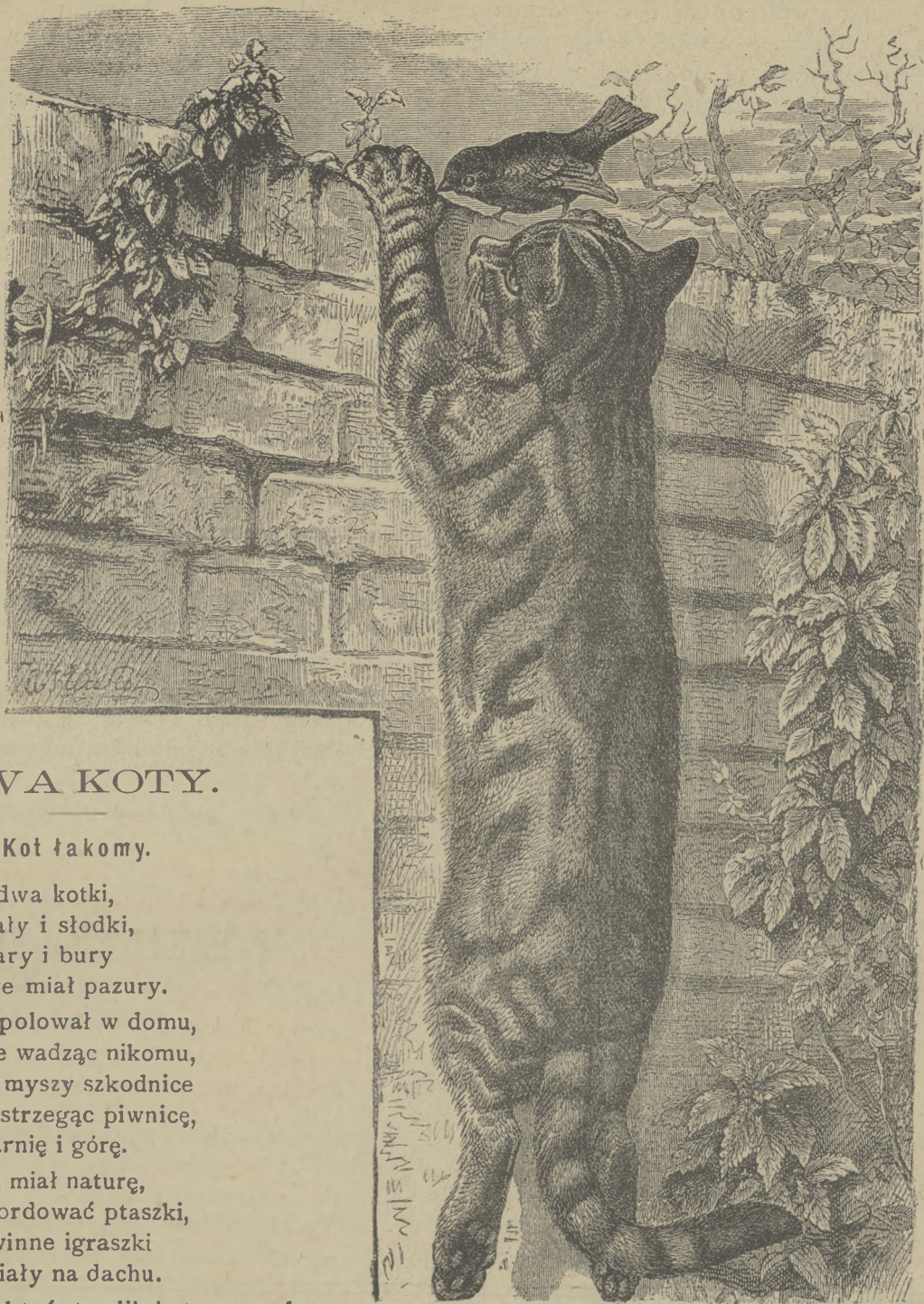
Pięć części, pięć głosek, które się mieszczą w wymienionych wyrazach.

Łamigłówniki arytmetycznéj:

10	17	16
	9	2
11	8	1
	7	6
12	13	14

TREŚĆ: Rozkosz zemsty (z drzew.) p. Cicię Janię. — Do konika, wiersz p. Z. Morawską. — Księga pamiętnych czynów. — Korespondencya „Wieczorów Rodzinnych” p. Poziomkę. — Topnik (z drzew.). — Gwiazda Sudanu, przygody podróżników w Afryce środkowej (c. d.). — Łamigłówniki, rozwiązania. **Dodatek:** Dwa koty wiersz p. A. Z. (z drzew.). — Poprawa Helenki p. Jedlinkę. — Wielkie zdolności, powiastka z prawdziwego zdarzenia p. Z. Morawską dokończenie. — Łamigłównika i rozwiązanie. — Skrzynka do listów.

Dodatek książkowy: Branka litewska, opowiadanie z dawnych czasów, p. Michalinę Zielińską.



DWA KOTY.

Kot łakomy.

Były to dwa kotki,
Jeden biały i słodki,
Drugi szary i bury
Straszliwe miał pazury.

Biały polował w domu,
Nic nie wadząc nikomu,
Tylko myszy szkodnice
Tępił, strzegąc piwnicę,
I spiżarnię i górę.

Szary złą miał naturę,
Wolał mordować ptaszki,
Gdy niewinne igraszki
Wyprawiały na dachu.

Wtem ktoś strzelił, kot w strachu,
Źle stąpiwszy spadł z góry,
Nie pomogły pazury,
Spadł na ostry kant głazu
I zabił się odrazu.

A. Z.

Poprawa Helenki.

Helenka była nadzwyczaj żywą dziewczynką, jednak posłuszna, kochająca, nigdy się nikomu nie naprzykrzała; kochano ją też bardzo, a mama brała ją czasem z sobą do cioci, tam bawiła się z Tolunią i Michasiem, dzie-

ćmi cioci, które były prawie w tym samym wieku. Tak dziewczynka rosnąc, z dniem każdym stawała się miłszą i grzeczniejszą.

Pewnego razu mama oznajmiła Helence, że ponieważ zaczęła siódmy rok, jest już dużą dziewczynką, więc Anna, starsza siostra, zacznie ją uczyć wielu pięknych rzeczy, a widząc radość malującą się na twarzy swjej córki, rzekła pieszczotliwie:

— Jdź więc, moje dziecko, do Anki, i powiedz jej. Cóż, czy bardzo cieszysz się z tego? Tylko się nie potknij — dodała, patrząc za wybiegającą w podskokach dziewczynką.

czynką. Helenka wpadła do siostry i zawołała zaraz z progu:

— Anko! mama powiedziała, że ty będziesz mnie uczyła, czy ja będę miała swoje książki?

— Chodź, Helenko, wpierv daj buzi — zawołała siostra, ucieszona jęj radością — a teraz chodź, pokażę ci książki — i zaprowadziwszy ją do szafki, pokazała parę książeczek, nadto piękny piórnik i kajety w różnokolorowych okładkach, a te się Helence najbardziej podobaly. Dziewczynka była uradowana, ścisłała siostrzyczkę, wołając:

— Anko! ja bardzo cię kocham za te śliczne kajety.

Potem opowiadała mamie o książkach i kajetach, że bardzo podobne do sukienek jęj lalki.

Na drugi dzień miała rozpocząć się lekcyja. Helenka wstała wcześniej niż zwykle, ubrała się prędiutko, bez grymasów, jak to czasem zwykła była czynić, a po śniadaniu prosiła siostry, aby już prędję zaczęła z nią lekcyja.

Anka cieszyła się z tęg pilności swojej małęg uczenicy; tylko mama uśmiechała się na to i mówiła:

— Zobaczmy, czy to na długo.

Wkrótce Helenka oswoiła się z nauką i przestała się nią bawić, jak to było z początku, lecz przeciwnie zaczęło ją to nudzić. Po kilku lekcyjach pilność Helenki coraz więcj słabła, w końcu oświadczyła w bardzo stanowczy sposób, że ona uczyć nie chce się wcale: „bo to jest, jak mówiła, nieznośne, i że woli się bawić”. Anka za radą mamy nie sprzeciwiała się temu, pozostawiła jęj zupełną swobodę, myśląc zapewne, iż może sama w końcu powróci do porzuconych lekcyj. Lecz tygodnie mijały, a Helenka ani pomyślała o nauce.

W jakiś czas potem, mama pojechała z Helenką do cici. Tola, ucieszona z odwiedzin swęj ciotecznęj siostrzyczki, przyniosła zaraz swoje najładniejsze zabawki, Michaś piłkę, i dzieci żartowały, śmiały się, a zabawa szła bardzo wesoło. Po kolacyi ciocia powiedziała do Toli:

— Helenka już się uczy, weźże jaką książkę, to przeczytacie nam co po kolei, chcę wiedzieć, jak też Helenka już czyta.

Tola przyniosła książkę i pierwsza zaczęła czytać. Michaś zachowywał się cichutko, żeby nie przeszkadzać siostrzyczce, jak to zwykle grzeczne dzieci robią. A Helence na płacz się zbierało, jednak wstrzymywała łzy, które jęj się gwałtem do ócz cisnęły; siedziała i słuchała niemal ze zdziwieniem, że Tola tak płynnie czyta, gdy ona w tym samym wieku prawie nic nie umie. Serduszek biło jęj jak młotem, gdy pomyślała, co powie, jeżeli ciocia każe jęj czytać. Ol gdybyście wiedzieli, jak żałowała teraz swojego lenistwa.

Wreszcie Tola skończyła czytanie i podała książkę Helence. Biedaczka! obejrzała się na mamę, jakby pytając, czy jęj nie wybawi z kłopotu; lecz mama oglądała jakąś książkę i zdawała się być bardzo zajęta. Więcj Helenka odwróciła główkę, a łzy tak długo wstrzymywane potoczyły się po jęj zarumienionęj ze wstydu twarzy. Zdziwiło to niezmiernie dzieci, a Tola zawołała przestraszona:

— Helenka płacz!

— Co, płacz? — pytała ciocia zdziwionym głosem — czemuż Helunia nie czyta?

Tu ciocia zaczęła się dopytywać o przyczynę płaczu Helenki.

— Niech się jęj mamusia o nic już nie pyta, ona tak płacz — prosił Michaś.

Wtedy już i mama Helenki zwróciła uwagę na to, co się działo i chociaż jęj przykro było, musiała jednak powiedzieć, co znaczył płacz Helenki i dlaczego nie umie jeszcze czytać. Ciocia o więcj już nie pytała, dzieci posmutniały, a mama, zabrawszy zapłakaną córeczkę, odjechała wkrótce do domu. Helenka zaraz po powrocie pobiegła do siostry i zawołała nawpół z płaczem:

— Anko, nie gniewaj się na mnie, ja się chcę uczyć naprawdę, ja się chcę uczyć koniecznie. Ol bo ty nie wiesz, jaki to wstyd nic nie umieć.

— O tak, moje dziecko — rzekła mama, całując ją w główkę — to wielki wstyd nic nie umieć z własnej winy i cieszę się bardzo z tego, żeś sama się przekonała, jak nauka jest potrzebna.

— Ach! mateczko droga, już ja cię nigdy nie zmarwię — wyszeptala Helenka, całując jęj ręce. Anka była uszczęśliwiona, doczekała wreszcie, że Helenka sama powróciła do nauki. Ucałowała ją na dobranoc, a Helenka przy wieczornym pacierzu prosiła Boga, aby jęj pomógł do wytrwania w tem postanowieniu.

Na drugi dzień zaczęła się znowu nauka Helenki, która odtąd była najpilniejszą uczennicą. Dziś Helenka jest już dużą dziewczynką i radzi wszystkim dzieciom, które nie chcą się uczyć, aby poszły za jęj przykładem.

Jedlinka.

WIELKIE ZDOLNOŚCI,

POWIASTKA Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA

przez **Z. Morawską.**

(Dokończenie).

Staś, ochłonawszy z przestachu, nie chciał jeszcze wracać do domu, poszli więc w podwórze, na co Józio chętnie się zgodził, mówiąc:

— Pewnie ojciec jest w podwórzu, poprosimy, to nam pozwoli jechać w pole wozem po zboże.

— Oj to dobrze, ja zaraz powozić będę — zawołał Staś.

— Ale co też ty mówisz — odrzekł mu Józio — takim wielkim wozem i czterma końmi to bardzo trudno powozić, ojciecby mi nigdy nie pozwolił.

— Jakto, toś ty nigdy nie powoził?

— Powoziłem małą bryczką w jednego konia — odrzekł Józio.

— Ach, jakiś ty tchórz! Cóż to wielkiego powozić? — zawołał Staś — pęk z bata raz, drugi i dalej.

— Tobie się tak wszystko zdaje łatwo, a zawsze potem ci się nie uda — odrzekł Józio zniecierpliwiony.

— No, proszę cię bardzo, mój Józiu — powiedział Staś obrażony — że mi się tam nie udało dziś z tą drabiną, to i cóż ja jestem temu winien, że ona spadła?

I chwilę szli w milczeniu. W podwórzu nie zastali ojca, lecz właśnie fura, co tylko przywiozła zboże, miała zaraz wracać, jak tylko złożą zboże w stodole.

Józio wiedział, że po lekcjach raz na dzień wolno mu było przejechać się w pole. Furą właśnie powoził Marcin, z którym również ojciec mu pozwolił jeździć, bo uważał, żeby się Józiovi co złego nie stało.

— Marcinie, zabierzesz nas w pole? — pytał Józio.

— Dobrze, paniczu, tylko po chwili jak zboże zdejmę. Ale niech się panicze na bok usuną, bo jak snopki rzucić będą, to mogą uderzyć.

Chłopcy odeszli, ale Staś spostrzegł bicz, stojący w kącie.

— A to mi dopiero bicz! — zawołał, i wzięwszy do ręki, zaczął trzaskać nim przed stodołą.

— Niechno panicz położy, bo się konie strachają takiego trzaskania; jeszcze który szarpnie i fura na panicza najedzie.

— No, no, już ja się tam nie boję! — odrzekł Staś po swojemu.

I trzaskał dalej. Odwołał go wprawdzie Józio na chwilę, ażeby patrzył, jak układają zboże, albo chwytali snopki, ale Staś, jak się zaczął kręcić i znów po swojemu mądrzyć, nie uważał i gdy rzucali zboże, snopki padły mu na głowę, a chłopiec się przewrócił. Nie zrobiło mu się nic złego, ale zgubił kapelusz i musiał go szukać w zasieku między zbożem. Wyszedł więc zadąsany, mówiąc:

— Już to ty, Józio, to mnie zawsze namówisz nie wiedzieć do czego.

I wzięwszy bicz powtórnie, trzaskał nim, aż się rozlegało. Wreszcie trzasnął przed samymi oczami koniom, stojącym przed stodołą, a zaprzężonym do wozu, będącego w stodole. Konie przestraszone ruszyły, tem więcej, że Marcin, zrzucający resztę zboża, nie mógł ich powstrzymać. Wóz był lekki, pędziły więc z nim prędko, Staś przestraszony zaczął uciekać, a potknąwszy się, upadł jak długi, a konie wprost na niego podążyły. Cudem tylko jakimś, że Staś nie został na miazgę zgnieciony, lub potratowany kopytami końskimi! Wóz szczęśliwie przejechał, a Staś leżał jeszcze na ziemi; dopiero Józio, niemniej od niego przelekły, przybiegł i podniósł towarzysza.

Chłopiec, oprócz przestachu i guza na czole, którego sobie nabiał o kamień, nie poniósł innego szwanku. Był jednak tak drżący, że nie można było myśleć o żadnej przejażdżce w pole, trzeba było wracać do domu, a guz na czole wydał cały wypadek.

Oprócz więc wstydu, dostała mu się jeszcze porządna bura od ojca.

VII.

Staś ani się spostrzegł, kiedy przeminęło siedm tygodni, przeznaczonych na wypoczynek. Trzeba było wracać do Warszawy a mimo wszelkich przypadków, jakie go spotkały, bardzo mu się na wsi podobało. Razem z nim miał jechać i Józio, temu jeszcze smutniej było opuszczać rodziców, od których dotąd nigdy się nie oddalał. Bał się też i egzaminu, chociaż nauczyciel za-

pewniał, że powinien zdać łatwo do pierwszej klasy, bo, co umie, umie dokładnie. W przeddzień więc wyjazdu obadwaj chłopcy byli bardzo smutni.

— Ach, gdyby nie ten egzamin! — wzdychał Józio.

— Ech, co mi tam egzamin! to nic wielkiego, ja się tam wcale nie boję! raz, dwa, trzy! i wszystko pójdzie doskonale. Jabym nawet wolał zdawać do drugiej klasy, żeby prędzej skończyć szkoły! — mówił Staś.

— Jakto, tybys zdał do drugiej? — pytał Józio ze zdziwieniem.

— Jak nie! tylko widzisz ten pan S. to taki maruda, on tak lubi powoli, powoli, a ojciec zupełnie wszystko zdał na niego, i dlatego muszę zdawać do pierwszej.

— Ach, jakiś ty szczęśliwy! Ja, żebym zdał do pierwszej, byłbym bardzo zadowolony — westchnął znowu Józio.

I nareszcie Józio wśród łez i czułego pożegnania z rodzicami, rodzeństwem i domownikami, a Staś nie bez żalu, odjechali wraz z ojcem Stasia do Warszawy. Zaraz na trzeci dzień po powrocie mieli zdawać egzamin. Józio miał łyzy w oczach i szczerze się modlił rano w kościele, aby mu Bóg dodał odwagi, Staś razem z nim poszedł, modlił się także, ale był pewny, że zda, jakby już siedział na ławie w klasie i to w pierwszym rzędzie. Wprawdzie czasami jakoś mu się zimno robiło, ale dodawał sobie fantazyi, mówiąc:

— Cóż znowu, przecież mam wielkie zdolności!

Józio wzdychał, ale trzymał się ostro i w myśli przypominał sobie trudniejsze zadania.

Rozpoczął się nareszcie egzamin. Obudwu uczniów miano jednocześnie egzaminować, weszli do sali i drzwi się za nimi zamknęły.

Po dwu godzinach wyszli, Staś spoglądał ponuro i miał minę bardzo niezadowoloną, choć jak mógł udawał, że nie stracił fantazyi. Józio był rozpromieniony, oczy mu się świeciły radością, policzki miał zarumienione, a cała twarzyczka była uśmiechnięta.

I nic dziwnego, Józia profesorowie pochwalili, bo na wszystko odpowiadał doskonale, Staś często niecierpliwił profesorów, bo co chwila się jękał, poprawiał, dawał odpowiedzi niezbyt dokładne i musieli mu powiedzieć, iż jakkolwiek widocznie ma zdolności, musi być leniwy i zarozumiały, trzeba więc, żeby przez te dwa tygodnie, które przedzielały go od rozpoczęcia nauk, porządnie jeszcze pracował, i zdawał egzamin powtórnie, bo inaczej trudno mu będzie w pierwszej klasie.

Ojciec Stasiowi po takim egzaminie dał surowe napomnienie, Józio zaś odjechał jeszcze na wieś na te dwa tygodnie i mógł używać swobody.

Staś, pilnowany przez ojca i pana S. ślęczyć musiał nad książką, aby dopełnić to, czego się nie nauczył, spuszczając się na wielkie swoje zdolności. Toż samo działo się przez cały rok, Józio uczył się i pracował, Staś mimo swojej nauki, jaką otrzymał przy egzaminie, mimo nadzoru pana S. przynosił stopnie bardzo mierne. Cenura zaś jego była taka:

Zdolności, wielkie. — Pilność, mierna.

I dalej wszystkie stopnie były *mierne* lub *dość dobre*. Tymczasem Józio miał napisane:

Zdolności mierne. — Pilność, wielka.

Inne zaś stopnie *dobre* lub *bardzo dobre*. Po skończeniu roku szkolnego, Józio dostał pochwałę i promocją do drugiej klasy. Staś niestety dostał promocją, ale z warunkiem poprawki i egzaminu po wakacjach. Bardzo to ojca martwiło, martwiło też i Stasia, przez całe wakacje pilnowano go, musiał się uczyć. A gdy czasami jeszcze zawołał po swojemu:

— Ech, cóż tam, przecież mam wielkie zdolności! — przypominano mu zaraz, że wielkie zdolności nic nie znaczą, jeżeli kto nie pracuje, marnując je i spuszczać się na nie.

Nie pojechał nawet na wakacje z miasta, tylko musiał się uczyć i siedzieć w Warszawie, kiedy tymczasem Józio był sobie swobodny i doskonale się bawił.

Może też Staś się poprawi, bo szkoda by było chłopca, który rzeczywiście ma zdolności, a marnuje je tylko przez zbyteczną zarozumiałość. Co się zaś stanie dalej ze Stasiem i Józiem, nie wiemy. Zresztą czytelnicy sami ich zapewne spotkają, siedząc na jednej z nimi ławce szkolnej; prosimy więc, aby nam donieśli, jak się powodzi Józiowi i Stasiowi w dalszych naukach.

ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA.

(Od Rosiczki z nad Rowu dla Gosposi z nad Pilicy).

Z następujących zgłosek: ~~am—ba—be—bie—bak—~~
~~dy—dye—dzio—i—in—ki—kró—la—le—na—nec—nicz—~~
~~o—ra—raw—so—ski—wlec—wo—zam—zj—~~ ułożyć wyrazy: 1. Imię biblijne. 2. Zwierzątko wodne. 3. Nazwisko poety. 4. Zwierzę australskie. 5. Rzeka w Afryce. 6. Kraj w Azji. 7. Rzeka w Polsce. 8. Nazwisko króla polskiego. 9. Miasto w Prusach. 10. Miejsce kąpielowe. Początkowe i końcowe litery utworzą nazwiska dwóch poetów.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 38-go.

Łamigłówni zgłoskowej:

SzacH—TermopilE—EdredoN—FulaR—AnastazY
—NaparsteK—BreW—AzaleA—TuneL—Opole—Ry-
cerZ—YankesY.

Stefan Batory — Henryk Walezy.

Skrzynka do listów.

Stokrotce różowej i Etnie dziękujemy serdecznie w imieniu biednych dzieci; wszelkie ubrania przynoszone, choćby i napół zniszczone, ubogim przydać się mogą.

Gosposia z nad Warty na całe życie miłe wspomnienie mieć będzie, że pierwsza jej robota okryła ubogą sierotkę.

Wiochna ucieszyła nas bardzo miłym i serdecznym listkiem. W rzeczy samej wielką to jest pociechą i radością dla tej, która pragnie usprawiedliwić swą nazwę „kochanej”, gdy starsze osobki, wyrósłszy z krótkich sukien i dziecinnego Pisemka, nie zupełnie przecież o niej zapominają. Były już wśród tego gronka i takie,

które jej donosiły o dniu swego ślubu, dodając, iż nagrody konkursowe i inne pamiątki na nowe gospodarstwo zabierają z sobą. Brak tu miejsca na obszerniejszą pogadankę, wyręczy nas Gołąbka.

Jedlinka bardzo słusznie mówi, że o najbliższych ubogich przedewszystkiem pamiętać należy! nigdzie ich nie brak niestety! my zaś przypominamy o starych ubraniach dla tego, że często dzieci same nie myślą o tem, a czy je odesłać do naszej redakcyi, czy rozdadzą same, to na jedno wyjdzie.

Konwalijskie różowej odesłano komplet półroczny powtórnie, pierwszy zapewne zaginął na pocztę, gdyż był wysłany zaraz po otrzymaniu prenumeraty.

Literat niezupełnie dobrze ułożył „Prozę i poezję” lecz właśnie porównanie mylnego rozwiązania z prawdziwem nie pozostanie bez korzyści.

Halke upewniamy, że i fartuszki, równie jak inne części ubrania, są bardzo pożądane. Gołąbka już ma zadanie konkursowe gotowe, postaramy się znaleźć na nie miejsce w Pisemku jak-najprędzej. Szarotka dlatego uszła pomimo starań, że ona tylko na górach żyć może, podobnie, jak wiele innych roślin górskich. Zamiłowanie do botaniki i ogrodnictwa jest bardzo chwalebne.

Ponuremu Rozbójnikowi morskemu Gołąbka za listek śpieszy dzięki przesłać, sama odpowie niezadługo.

Jedynaczka z nad Bugu dobrze ułożyła łamigłównę, tylko mylnie podzieliła zgłoski czyli sylaby. Na ten raz się to poprawi. „Branka litewska”, która się tak podoba kochanym czytelnikom, ukończy się w tym roku.

Biała Ostróżka takie miłutkie pisuje listki, że choćby nadszły najczęściej, zawsze będą czytane z przyjemnością. Lato tegoroczne nie bardzo sprzyjało osobom, szukającym na wsi odpoczynku i zdrowia.

Droga Poziomko kujawska! Serdeczny twój listek dziwnie miłe uczynił na mnie wrażenie, i zapewniam cię szczerze, że podzielać zupełnie sympatyą, którą czujesz do mnie. Chciałabym żebyśmy się kiedy spotkały, a pewnie zaprzyjaźniłybyśmy się bardzo, bo co do mnie niezmiernie chętnie i łatwo zawieram nowe znajomości. Największą robi mi przyjemność rozpoznawanie w ciągu rozmowy charakteru osoby pierwszy raz widzianej. Rozmowę listy mogą zastąpić, ale korespondencja przez Wieczory z konieczności ograniczoną być musi, a więc pomimo wzajemnej sympatii nigdy się nawet listownie nie poznamy, chyba przypadek jaki połączy nas kiedy. Tymczasem donieś mi, jak wyglądasz, ażebyś mogła odtworzyć sobie w myśli postać nieznanej, a tak mi już sympatycznej Poziomeczki. Wiochna z pod Lublina.

Kochana Bławatko z nad Horynia! Mam już Wieczory Rodzinne i obrałam sobie pseudonym „Kureczki z nad Ikwy”. Napiszę do ciebie obszerniejszy list przez pocztę, a tymczasem ściskam cię, twoja Kureczka z nad Ikwy. (Manusia)

Kochana Amato! Bardzo mi się podoba twój pseudonym, to też dla tego chciałabym zapoznać się z tobą za pośrednictwem naszych kochanych „Wieczorów”. Ja w tym miesiącu skończyłam lat 12 noszę imię ukochanej królowej polskiej, zgadnij którą? Wychowuję się w domu, rodzeństwa nie mam. Życzliwa, Jedynaczka z nad Bugu.

Droga Wisienko z nad Sobu! Obiecałam ci odpowiedzieć na twój list, widzisz więc, że twoja Ostróżka umie dotrzymać słowa. Anulka pisuje pod pseudonymem „Czapli z nad Pohanki.” Jaka powieść w Wieczorach najwięcej ci się podoba? Ja i Misio posyłamy tobie i twoim siostrzyczkom serdeczne uściski. Biała Ostróżka.

Kochana Krynico i Szczercu! Dziękuję ci, Krynico, za tak miłą odezwę. Ja nazywam się Stefcia, mam lat 9, mieszkam w Hrubieszowie i mam dwoje rodzeństwa. Napisz mi to samo o sobie. Szczercuowi donoszę, że wiem dobrze, kto on jest i radzę mu nie zrażać się niepowodzeniem i pisywać dalej do „Wieczorów”. Odpiszcie mi, proszę was o to serdecznie, wasze Świątełko.

NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

Jaskółka z nad Sekwany rs. 1.

Na bióro nędzy wyjątkowej: H. Ł. kop. 50.

Dla biednych dzieci: Jedlinka rs. 1 — A. B. 50 kop.